



# ŁAWKA

Andrzej Galicki

*Andrzej Galicki*

# ŁAWKA

© Copyright by Andrzej Galicki & e-bookowo  
Projekt okładki: Andrzej Galicki  
ISBN 978-83-63080-79-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)  
Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie I 2012

## 1. Kolacja dla Łabędzi

To była ta sama ławka. Albo zupełnie taka sama. No, może odmalowana parę razy, wciąż taką samą olejną farbą. Ostatnia warstwa już złaziła obnażając poprzednie. Kiedyś dwa drewniane szczelby były złamane, ale nikomu to nie przeszkadzało, nawet tak było lepiej, jakoś tak bardziej po swojemu, nie wypadało nawet żeby wszystko było całe. Musieli w międzyczasie naprawić. Eleganciki pieprzone. Nigdy się nie nauczą że jak coś jest dobre to się nie naprawia. Może innym to nie przeszkadza ale mnie trochę tak. Jakby przez pomalowanie i wymianę dwóch kawałków drewna ukradli jej coś. Ta sama a jednak trochę jakby inna. To tak jakby pożyczyć kumplowi swoją dziewczynę na prywatkę. Jeżeli nawet odda (na ogół nie oddawali) to i tak wiadomo że nie będzie taka sama. I to właśnie jakoś tak z lekka wkurwia. Niby wszystko dobrze ale nie do końca. Ale ogólnie nieźle się siedziało. Wrzesień, ciepło jeszcze, wiewiórki smyrgają po gałęziach, dzieciaki rzucają się kasztanami. To taka prawdziwa polska jesień. Tam, za oceanem jesień jest inna. Albo prawie jej nie ma. Z końcem lata robi się zimno. A w połowie października, już po pierwszych przymrozkach, po pierwszych płatkach śniegu w mroźnym powietrzu – nagle robi się ciepło, bardzo ciepło. Nazywają to „Indiańskie Lato”. Indian powyrzynali, lato zostawili. Klimat ostry, brutalny. Za to kolory zajebiste. Płoną góry, płoną lasy jak śpiewały „Czerwone gitary”. Myśmy – na ławce – nazywali ich Czerwone Fujary, ale tak, żartem, z sympatią. Lubiliśmy ich. Ciepło było.

I wtedy właśnie to poczułem. Takie jakby wspomnienie z przed lat. Ale jakoś łagodnie, tak przez mgłę. Takie coś, niby trochę przyjemne, a trochę nie bardzo. Jakby uśmiech trędo-

watego z sąsiedniej łoży w operze. Przypomniałem sobie to uczucie, znałem to kiedyś, tylko, że wtedy było ono silniejsze.

O wiele. Jakiś taki strach połączony z podnieceniem. Teraz strachu już nie było, teraz czułem lekki, smrodliwy niepokój, tak jakbym w kościele nasikał w kalesony i nie wiedział co z tym zrobić. Nic to, jak mawiał Mały Rycerz, zobaczymy.

I spojrzałem w prawo, tak kątem oka, bez odwracania głowy, jak to robią na filmach. Niby się nie patrzy a się patrzy.

Był. Na pewno ten sam. Siedział Buras jeden na drugiej połowie ławki i palił jakiegoś śmierdziucha. Nie musiałem już udawać, że go nie widzę, przyjrzałem się dokładnie; gęba szara, skacowana, garniturek granatowy mocno znoszony a z dziury w adidasie wystaje raciczka.

Oj, kiepsko trafiłeś chłopie, na mnie nie zarobisz. Nic nie mówię, ciekawe kto pierwszy nie wytrzyma. Taka gra, na przetrzymanie. Im dłużej nic nie mówisz, tym większą masz ochotę się odezwać. Kobiety z reguły przegrywają. Powiedział rybak do rybaka:

– Chyba się rozwiode.

– Czemu? – dziwi się drugi.

– Moja żona nie odzywa się do mnie od miesiąca.

– Ty się dobrze zastanów – radzi drugi. Taką żonę trudno jest znaleźć.

To był dowcip. Wciąż nic nie mówię. Przechodził akurat jakiś dziadek, trzymał w kościstych paluchach papierową torebkę. Pewnie będzie karmić gołębie.

– Czy można usiąść? – grzecznie zapytał.

– Przecież zajęte – grzecznie odpowiedziałem.

Popatrzył na mnie jakoś dziwnie i przeszedł do następnej ławki ale po chwili obejrzał się, znów na mnie popatrzył i przeszedł do jeszcze dalszej. Brak zaufania do Świra wyrobiło się w społeczeństwie. Dawniej tak nie było. Największe Fijoły były zawsze na trybunach. A Społeczeństwo maszerowało i wołało:

–Niech Żyje!!! Niech Żyje!!!

I jeszcze chorągiewką i jeszcze transparencikiem:

– Niech Żyje!!! To dopiero była radocha.

A wy co macie taką krzywą minę, obywatelu? Dowodzik poproszę, sprawdzimy co wy za jedni. To były czasy!

Burek nie wytrzymał, wyciągnął z kieszeni pogniecioną paczkę.

– Zapalisz?

– Przecież nie palę.

– No, tak sobie pomyślałem, że nigdy nie wiadomo. Wciąż mnie tak nazywasz?

– Jak, Burek? Nie muszę cię tak nazywać, sam taki jesteś, od zawsze. Buras i tyle.

– Oj, nie lubisz ty mnie, nie lubisz...

– Lubię, lubię. Jak student milicjanta.

Przeciągnął dłonią po chropowatej farbie.

– Ta sama ławka – powiedział.

– Podobna – odburknąłem.

– Oj, ta sama, ta sama. Widzisz, tutaj? – Poprzez farbę dały się zauważyć wyryte inicjały: A R

– Miałeś wtedy nowego scyzora. Antek i Renata, chyba pamiętasz?

– Tak jakby, gdzie ona teraz jest?

– Dobrze wiesz – odpowiedział niechętnie – a Kryškę pamiętasz?

– Jasne, ciekawe jak ona teraz wygląda.

– Stara i brzydka. I gruba. Uratowałem cię wtedy.

– Co ty trujesz?

– A przypomnij sobie tą prywatkę na Czerniakowskiej. Wszyscy ją przelecieli. Oprócz ciebie. Polewałem ci wtedy mocno. I ci nie stanął. Podziękuj.

– Za co mam ci dziękować?

– Może byś się ożenił. Kochliwy byłeś. Miałbyś brzydką żonę i dwudziestu pięciu szwagrów.

– Liczyłeś?

– Tylko co piątego.

– Wtedy była ładna – broniłem się bez zapału.

– Dlatego tylu szwagrów – odparował.

Logikę miał żelazną. A ja żadnej. I to mnie wkurzało.

– A ja się ciebie już nie boję – powiedziałem zaczepnie.

– Klawo – mruknął bez przekonania – trzeba to oblać. I wyciągnął zza poły butelkę z ciemnego szkła. Spojrzałem na naklejkę.

– O rany, prawdziwy patol – zawołałem z uczuciem. – Skąd ty to masz? Nie wiedziałem, że jeszcze takie robią.

– Tylko u nas, tylko u nas – powiedział z dumą. – Pozostałości postkomunistyczne.

Dobrze pamiętam to świństwo, patykiem pisane. Przez długie lata kosztowało to siedemnaście pięćdziesiąt, aż pewnego pięknego poranka spragniony obywatel patrzy a tu dziewiętnaście. A potem już poszło prawem bezwładności: dwadzieścia, dwadzieścia jeden itd, a gdy doszło do sumy dwadzieścia cztery złote polskie, zrozumiałem, że nic tu po mnie.

– Tylko nie ściemniaj – powiedział Burek. – Nie dlatego wyjechałeś, że alpaga dwadzieścia cztery.

– To dlaczego?

– Boś naknocił jak pijany zając. I wstyd ci było. Rozejrzyj się tylko, coś ty zbudował, jeszcze coś z tego zostało. Same buble. A już ten Dworzec Centralny to szczyt, ledwo się to kupytrzyma, inżynierek pieprzony.

– Sam nie budowałem, ja tylko pomagałem – broniłem się słabo. – A w ogóle to Gierek kazał.

– Aha, naknocił i jeszcze na innych zwala. A pamiętasz co ci powiedzieli na koniec? Że jak nie zapiszesz się do partii to nigdzie dalej nie zajdziesz. A ja ci mówiłem, zapisz się.

– Przecież to wszystko się rozleciało.

– Tak, ale zanim się rozleciało niektórzy zdążyli się nieźle nachapać. Miałbyś willę na Żoliborzu i mercedesa.

– Przecież miałem dom.

– I syrenkę – zarechotał.

Sprawnie wybił korek.

– Masz, łyknij. – Był wyraźnie zadowolony z siebie.

– Nie piję – powiedziałem.

– Nie pijesz? – powtórzył zdumiony, – To po coś ty tutaj w ogóle przyjechał? Do Unii chcesz się zapisać?

– Tak się rozejrzeć, odwiedzić stare kąty. Ze mną ci tak łatwo nie pójdzie.

– Musi pójść. Nie takich cwaniaków rozpracowałem.

– Dlaczego musi?

– Bo jak nie to kiepsko ze mną. Syberia. Takie u nas teraz rygory.

– Ze mną to się nie uda. Teraz już nie.

Z żalem wepchnął korek do szyjki.

– No, poziwiom – uwidim. Mruknął po francusku.

Gałęzie nad nami szumiały lekko, ciężkie od wspomnień i wrześniowych kasztanów, dzieciaki pokrzykiwały z oddali, no dobra – zaczynamy następną jesień, zobaczymy jaka będzie. A swoją drogą zadał mi bobu tym Dworcem Centralnym. Na początku szło nieźle, pokazowa budowa Warszawy, prezent od towarzysza Gierka dla rodaków.

– Chcecie dworzec?

– Chcemy!!!

– Chcecie Trasę Łazienkowską?

– Chcemy!!!

– No to budujemy.

– Ale my nie mamy pieniędzy, towarzyszu Gierek.

– To nic, pożyczymy. Zgniły Zachód ma za dużo. Aż się proszą żeby od nich pożyczać. A potem wy spłaciecie, zgoda?

– Zgoda!!! – zgodnie zawołali towarzysze. Społeczeństwo się nie wypowiadało, może tylko pod budką z piwem, zresztą te też wkrótce polikwidowano. Co było w Paryżu najbardziej niebezpieczne dla monarchii w okresie przed rewolucją? Paryskie kawiarnie. W powojennej Warszawie kawiarni było niewiele, za

to budki a piwem były popularne a ożywione dyskusje na każdy temat ciągnęły się do późnego wieczoru. Użycie argumentu w postaci pięści bywało nieuniknione, gdy dyskutant okazywał się wyjątkowo mało pojętny. Dlatego w końcu postanowiono je polikwidować. O tym właśnie myślałem przesuwając wzrokiem po przyrodzie.

I wtedy właśnie ją zobaczyłem. Taka była lekka i przejrzysta, że ledwo się rysowała na tle pomarańczowych od zachodzącego słońca krzewów. Skrzydełka miała maleńkie i takie zgrabne, jak u ważki. Pomagała dziadkowi karmić gołębie. Burek też musiał ją zauważyć, bo zaraz pomarkotniał. Siedzieliśmy w milczeniu, nagle zabrakło tematu.

Po dłuższej chwili Burek podniósł się, wygładził dłonią spodnie i powoli, bez słowa, pokuśtykał w stronę bramy. Przypomniało mi się, że zawsze bardziej kuśtykał gdy się denerwował. Żał mi się go zrobiło.

– Przyślij mi kartkę – zawołałem za nim. – Z Irkucka!

Machnął niedbale ręką bez odwracania się. Ale wiedziałem, że jeszcze go zobaczę.

Dziadkowi musiało zabraknąć okruszków bo pomału dreptał z powrotem. Przechodząc obok mojej ławki dotknął palcami kapelusza.

Kiwnąłem głową na pożegnanie. Ciepło było. Tak przyjemnie ciepło, że nie chciało się wstawać.

– Nareszcie jesteś – usłyszałem cichy głos, głos którego nigdy nie zapomniałem. Stała dwa metry przede mną. Nie siadała, takie jak ona nie siadają. Jak się nic nie waży nie ma sensu siadać. Popatrywałem na nią przez zmrużone oczy. Tylko tak było ją dobrze widać.

Gdy patrzyło się normalnie, była prawie niewidoczna a kiedy była niezadowolona, rozpływała się jak mgła, często zupełnie znikając, całkiem bez powodu.

– Cześć, Mgiełka – powiedziałem.

– Mgielka – powtórzyła – tylko ty mnie tak nazywasz. Różnie mnie nazywają ale tak tylko ty. Lubię to.

Była teraz bardzo wyraźna, tak wyraźna że aż prawie prawdziwa.

– Głodny jesteś? – podała mi kilka kasztanów na wyciągniętej dłoni. Wziąłem je do ręki, przykryłem drugą, tak jak nauczyła mnie kiedyś i zamknąłem oczy. Gdy otworzyłem je po chwili, kasztanów już nie było a uczucie głodu zniknęło.

– Wciąż pamiętasz tą sztuczkę – powiedziałem.

– Ja przecież nigdy nie zapominam – napijesz się soku brzoźowego? – zapytała – miała zawsze sok brzoźowy, nie tylko na wiosnę.

Nie pamiętam nawet ile razy ratowało mi to życie.

– Dziękuję, nie mam kaca. Już nie miewam. Wcale się nie zmieniałaś.

– Ja się nie zmieniam. Za to ty, tak.

– Jak wyglądam?

Przyjrzała mi się uważnie.

– Trochę jak stary pierdziel, ale można wytrzymać.

– Dziękuję, obawiałem się że gorzej.

– No tak, niektórzy wyglądają gorzej. A niektórzy wcale już nie wyglądają.

– Powiedz mi coś o nich.

Zaczęła skubać listki krzewu. Zawsze tak robiła gdy rozmowa była jej nie w smak.

– Sami ci powiedzą. Ja tam do niczego się nie mieszam.

– Nawet nie wiem gdzie ich szukać, nie wiem kto pozostał.

– Już ty się nie martw, znajdą się, znajdą. Zawsze się znajdują, czy chcesz, czy nie. Tak już jest.

Poruszyła lekko skrzydełkami co u niej znaczyło, że zaczyna się nudzić.

– No to „do next tajma”, tak się chyba tam, u was mówi. Idę dalej, karmić łabędzie.

Roześmiała się i już jej nie było. Słońce było już nisko, powietrze zrobiło się jakieś czerwone, mimozy pachniały uwodzicielsko a z dala słychać było pojękiwanie tramwaju.

No tak, pora na kolację dla łabędzi. Dla mnie chyba też, pomyślałem.

Ociężale podniosłem się z ławki i powlokłem w kierunku wyjścia.

A Świat wciąż się kręci.